

SWÓJ-OBCY-INNY

Polska, Ruś i racja stanu

Andrzej Romanowski

26.08.2014 , aktualizacja: 25.08.2014 18:54

Polska po osiągnięciu celów strategicznych, czyli członkostwa w NATO i UE, nie miała żadnego powodu przyjmować wobec Rosji postawy konfrontacyjnej. Nie powinna być jastrzębiem - raczej gołębiem, mediatorem, uważa publicysta Andrzej Romanowski.

Marcowa aneksja Krymu przez Rosję jest w powojennej Europie wydarzeniem bez precedensu. Nie bez powodu jedynym porównaniem wydają się działania Adolfa Hitlera w 1938 r. Ale z takich analogii niewiele wynika.

W oczach Wschodu

[Rosja](#) czuje się spadkobiercą Rusi. Kijów jest jej kolebką, miastem świętym, Donieccyzna i Ługańszczyzna zaś leżały na terenie państwa moskiewskiego również wtedy, gdy kolonizowali je ukraińscy Kozacy. Krym został zdobyty w XVIII w. przez Rosję i w większości zasiedlony przez Rosjan (Ukrainie подарowano go zaledwie 60 lat temu), a Sewastopol do dziś pozostaje symbolem chwały rosyjskiego oręża. Do względów historycznych dołącza się ekonomiczny: kopalnie, huty i fabryki Zagłębia Donieckiego zakładano nie na potrzeby Ukrainy, lecz całego imperium. Może zaś najważniejszy jest aspekt podniesiony ostatnio przez prof. Adama Daniela Rotfelda: obawa, że [Ukraina](#) skopiuje wzory z Zachodu - dla reżimu Putina zabójcze.

A jednak mimo wszystkich tych okoliczności ostatnie ćwierćwiecze dowiodło, że Rosja gotowa jest przyjąć istnienie odrębnej Ukrainy. Jak dalece miałyby to być odrębność formalna, to oczywiście sprawa inna. Ale warto zauważyć, że od roku 1989 obszar panowania bądź wpływu Rosji nieustannie się kurczy (wyjątkami są zgniecenie rebelii Czeczenii oraz poddanie swej kontroli części terytorium Gruzji: Abchazji i Osetii Południowej). W historii tego kraju, rozszerzającego się od XV do XX wieku drogą systematycznych podbojów, jest to więc nowość. Mimo to w Polsce panuje oczekiwanie, by Rosja cofała się nadal.

Jeżeli jednak w dniach pomarańczowej rewolucji nawet Putin wykazał powściągliwość, to już trudno sobie wyobrazić, by nie tylko on, ale też Michaił Gorbaczow czy Borys Jelcyn zgodzili się kiedykolwiek na pożeglowanie Ukrainy do świata zachodniego. Ukraina zachodnia byłaby może jeszcze do rozważenia - i pewnie nieprzypadkowo Władimir Żyrinowski sondował możliwość podzielenia się tym obszarem z Polską. Ale rosyjskojęzyczny wschód? Gorbaczow w każdym razie natychmiast poparł aneksję Krymu.

Prof. Jan Widacki pisał niedawno: "Była szansa na to, że w ciągu dwóch pokoleń Ukraina się zunifikuje, jej mieszkańcy urodzeni w niepodległej republice poczują się obywatelami jednego państwa. To wymagało czasu i spokoju. Europa Zachodnia i [Polska](#) powinny ewolucyjne procesy na Ukrainie mądrze wspierać (). Powoli, acz systematycznie przyciągać do świata zachodniego, a przy tym nie drażnić Rosji. Pozwolić nadal lawirować między Rosją a Zachodem, równocześnie krok po kroku wiązać z Europą. Elementarna znajomość realiów Europy Wschodniej podpowiadała, że gwałtownego przeciągania na Wschód czy na Zachód Ukraina jako państwo może nie wytrzymać. Może się rozpaść. Tymczasem co zrobiono? Właściwie wszystko, czego robić nie było wolno. Niestety, nie miały udział w tym ukraińskim dramacie mają nasi politycy. Chciano gwałtownie wyrwać Ukrainę spod wpływów Rosji, łudząc nierealną jeszcze przez wiele lat nadzieją przyjęcia do Unii Europejskiej". ("Przegląd" nr 20).

Nasza odpowiedzialność

Istotnie. Polska, podtrzymując dążenia Ukraińców do systemu "takiego jak na Zachodzie", wspierała działania wymierzone w prezydenta Wiktora Janukowycza i jak w 2008 r. w Gruzji opowiadała się za wszystkim, co tylko może zaszkodzić Rosji. Działania takie niosły oczywiste ryzyko, czy jednak miały sens?

Czy pod rządami Janukowycza Ukraina rzeczywiście stałaby się rosyjskim protektoratem? To wielkie i ludne państwo zawieszane między Wschodem a Zachodem, przyjazne Rosji i Zachodowi (choć pewnie Rosji bardziej), zostałoby wtedy co prawda skazane na dryf, nie byłoby państwem marzeń, zwłaszcza dla Ukraińców ze Lwowa, ale zarazem zachowałoby terytorialną integralność i miałoby poczucie bezpieczeństwa. Ukraina Janukowycza miała szansę - choćby tylko teoretyczną - stać się europejskim łącznikiem, krajem europejskiej równowagi. Jednak takiej opcji w ogóle w Polsce nie rozważano. W konflikcie rozdzierającym Ukrainę nasza opinia publiczna, a po części też rząd, opowiedziało się przeciw ukraińskiej władzy legalnej, dysponującej mandatem demokratycznym.

Nie rozważaliśmy też regionalizacji Ukrainy. Nasi publicyści bili na alarm: to byłby wstęp do rozpadu tego państwa! Prawda, tak mogło się stać. Czy jednak dziś, gdy od miesięcy płonie wschód Ukrainy, ryzyko rozpadu jest mniejsze? Gdyby swego czasu z projektem regionalizacji wystąpiły władze ukraińskie, odebrałyby Rosji jej podstawowy atut. Czy Rosja znalazłaby inny pretekst? Możliwe. Ale nawet gdyby przyjąć, że jej celem jest wchłonięcie Ukrainy (co nader prawdopodobne), to nie ma już pewności, by w sytuacji państwa jakoś z nią związanego takie działania zachowały prawomocność.

Przed dziesięciu laty byłem entuzjastą pomarańczowej rewolucji, a mój syn jeździł do Kijowa manifestować z Ukraińcami. Jednak podobną polską solidarność w latach 2013-14, a więc już w innych politycznych uwarunkowaniach, przyjmowałem źle. Bo czy chodziło o dobro Ukrainy, czy o to, by dopiec potężniejszej Rosji?

W lipcu 2012 r. obserwowaliśmy z synem we Lwowie protesty przeciw przyjętej właśnie ustawie o podstawach państwowej polityki językowej. Rozumiałem wątpliwości wobec trybu przyjętej ustawy, przyjmowałem do wiadomości jej kontrowersyjność dla Ukraińców, ale nienawiść do "mówiących inaczej" - do ludzi rosyjskojęzycznych niechających być obywatelami drugiej kategorii - była dla mnie szokująca. W ten sposób - myślałem - nie buduje się państwa.

Nasza rusofobia

System polityczny stworzony przez Putina jest tyleż anachroniczny, co niebezpieczny. W Polsce i Europie budzi on lęk, a za nim chęć przeciwstawienia się, żądę odwetu. Jednak Putin kiedyś odejdzie, a Rosja pozostanie. Chodzi więc o to, by nawzajem zadać sobie możliwie najmniej ran, by w chwili lepszej koniunktury wrócić do stosunków, których perspektywa zarysowała się u progu lat 90. Rosja przecież niejedno ma imię. Nawet niewola, którą zafundowała Polsce czy Ukrainie (znacznie bardziej Ukrainie!), wyrządziła nie tylko wiele złego, lecz - paradoksalnie i mimochodem - również trochę dobrego. W końcu jednoczenie ziem ukraińskich od XVIII do XX w. było nie do pomyślenia bez rosyjskiego, a potem sowieckiego, oręża. Mutatis mutandis, podobną formułę dałoby się odnieść do dzisiejszej Polski. "Rzec można, że Polska istnieje z woli i łaski Stalina" - pisał w "Roku myśliwego" Czesław Miłosz.

Po falach mrozu przychodzą w Rosji okresy odwilży. A obok antypolskiej wrogości istniały zawsze olbrzymie obszary życzliwości, przyjaźni, fascynacji, nawet propolskiego snobizmu. Było więc na czym budować, zwłaszcza w okresie większej rosyjskiej otwartości. Ale nawet gdyby tego nie było, aktualne pozostawało wezwanie Cypriana Norwida: "Granicząc z Rosją, trzeba w niej mieć swą partię".

Aby jednak mieć taką partię, trzeba najpierw Rosję zrozumieć. Na wzajemnym zrozumieniu polskiej i rosyjskiej misji dziejowej budowali niegdyś swe polityczne koncepcje Adam Czartoryski, Aleksander Wielopolski, Roman Dmowski. Dziś, zakorzenieni w NATO i Unii Europejskiej, wzięliśmy Rosję w nawias - od czasu do czasu gramy jej tylko na nosie. Na co dzień zostawiliśmy ją samą - z jej kompleksami i frustracjami po "największej katastrofie geopolitycznej XX wieku". Przestało nam zależeć na obecności kultury polskiej w Rosji. Nie zadbaliśmy o "polską partię". A jakkolwiek jest zróżnicowana polska opinia na temat Rosji, to najsilniej daje o sobie znać specyficzny polski patriotyzm.

Specyficzny - bo myślowo prostacki. Jego imperatywem jest szkodzenie Rosji, gdzie tylko się da, w naiwnej wierze, że odepchnie się ją dalej od naszych granic (Tomasz Sakiewicz już wzywa do wysłania na Ukrainę polskiego korpusu). Nie bierze się pod uwagę, że rezultat takiej postawy może być odwrotny - obudzi w Rosjanach ducha "obrony". "Jesteśmy po to, żeby podjąć walkę" - krzyczał 12 sierpnia 2008 r. w Tbilisi prezydent RP Lech Kaczyński i trudno o lepszy przykład fanfaronady: jałowego drażnienia Rosji i braku odpowiedzialności za słowa. W Polsce pokazujemy (prywatnie jest inaczej), jak bardzo Rosji nie lubimy. Nasza narracja na temat tego kraju jest w najlepszym razie protekcjonalna, ironiczna, doszukująca się wszędzie (nawet w olimpiadzie w Soczi) tendencji imperialnych, ślepa na wszystko, co w Rosji mogłoby być sympatyczne. Jednak polska rusofobia wynika nie tylko, i chyba nie przede wszystkim, z urazów z czasu niewoli. Jej podłożem jest wywiedzione z sarmatyzmu przeświadczenie o polskiej wyższości kulturalnej. Może więc warto przypomnieć, że ulicami Warszawy płynęły rysztyki tak długo, aż przybył tu carski generał Sokrat Starynkiewicz i wprowadził kanalizację.

Polska rusofobia nie ma większego politycznego znaczenia, ale wzmacnia myślenie odwetowe na Kremlu. Szkoda, że w minionym ćwierćwieczu nie szukaliśmy sposobności, by wykonać wobec Rosji jakiś gest przyjaźni i sympatii pokazujący jej, że politykę otwarcia prowadzić było warto. Co by na przykład się stało, gdyby w [Warszawie](#), na pałacu Morsztynów przy ul. Miodowej 10, odślonić tablicę informującą, że od 14 lipca do 4 września 1707 r. gościł tu car Piotr I? Że ten największy władca Rosji źle się zapisał w historii Polski? Akurat wtedy przybył jako sojusznik legalnego polskiego króla.

Nasza przegrana

W zrozumiałej, lecz krótkowzrocznej trosce o własne bezpieczeństwo udowodniliśmy więc Rosji, że nie jesteśmy jej życzliwi. Ale udowodniliśmy też coś znacznie poważniejszego. Pokazaliśmy, że rosyjska polityka otwarcia - rozpoczęta przez Gorbaczowa, kontynuowana przez Jelcyna i nawet jeszcze przez Putina, który pięć lat temu mówił na Westerplatte rzeczy dla rosyjskiego ucha rewolucyjne - jest drogą do politycznej zapaści. "Wspólny europejski dom" okazał się miejscem, z którego ten i ów Rosję wyprasza, w którym dochodzą do głosu antyrosyjskie fobie, niekiedy na granicy paranoi. Tymczasem Polska - po osiągnięciu celów strategicznych, czyli członkostwa w NATO i UE - nie miała żadnego powodu, by przyjmować wobec Rosji postawę konfrontacyjną. Nie powinna być jastrzębiem - raczej gołębiem, mediatorem. Zwłaszcza dziś, gdy Unii Europejskiej, w tym naszemu środkowoeuropejskiemu regionowi (vide stanowisko Węgier czy Słowacji), daleko w sprawie Ukrainy do jedności, Polska jako jastrząb sporo ryzykuje na przyszłość, a traci na skuteczności obecnie.

Przegrywamy nie dlatego, że nie docenialiśmy zagrożenia rosyjskiego. Przegrywamy, bo to zagrożenie przecenialiśmy. Bo przecież nie każdy krok Rosji był w przeszłości obliczony na konfrontację. Porównując rosyjsko-niemiecki kontrakt gazowy do paktu Ribbentrop-Mołotow, sami pozbawialiśmy się wiarygodności. Wydaje się, że elity polityczne wyrosłe z ruchu "Solidarności", rządzące się etosem walki, zawsze też wobec siebie bezkrytyczne, nie potrafią zmierzyć się z zagrożeniem, gdy stało się realne. Dziś, jak niegdyś Lech Kaczyński, dużo mówimy, protestujemy, piętnujemy i żądamy sankcji, w dodatku licytujemy się na radykalizm. Nie mamy jednak pomysłu na Rosję, na dobrosąsiedzkie z nią stosunki - jak już niczego jej nie znajdziemy, to przynajmniej zażądamy, by Katyń uznać za ludobójstwo.

Dziś z rosyjsko-ukraińskiej konfrontacji nie widać wyjścia. Rosja - by zacytować opinię z początków Wielkiej Wojny Ojczyźnianej - "nie ma się już dokąd cofać". I nie może odpuszczać Ukrainy, fundując sobie powstanie państwa bardziej jeszcze niż Polska antyrosyjskiego. Ale i Ukraina nie ma się dokąd cofać: nie może wszak handlować własnym terytorium. Z kolei Europa, pomna doświadczeń [Monachium](#), jest świadoma, że rewizja granic to droga w przepaść: wszak Hitler też mówił, że Sudety są jego "ostatnim żądaniem terytorialnym". Takich sprzeczności nie da się rozwiązać bezboleśnie. Wyjścia są dwa: otwarta wojna lub "druga Jałta". Ani do jednego, ani do drugiego nie wolno dopuścić.

Jaka więc nauka płynie dla Polski z konfliktu ukraińskiego? Że czynnikiem stałym polskiej polityki była i pozostaje Rosja. Trzeba więc myśleć. Najlepiej przed szkodą. Jednak lepiej późno niż wcale.

**Andrzej Romanowski - profesor na Wydziale Polonistyki UJ i w Instytucie Historii PAN, publicysta*

Pomieszanie z poplątaniem

Mirosław Czech

29.08.2014 , aktualizacja: 28.08.2014 22:26

Polityka polska zrobiła wszystko, co możliwe i niemożliwe, by Janukowycz miał szansę balansować pomiędzy Zachodem a Rosją oraz podpisać umowę z Unią Europejską. Wersja historii przedstawiona przez prof. Romanowskiego to wytwór rosyjskiego imperializmu, uważa Mirosław Czech z Gazety Wyborczej.

Prof. Andrzej Romanowski napisał tekst bezwstydnym względem faktów, intelektualnie infantylny i niemądry politycznie. ("Gazeta Wyborcza" 26 sierpnia). Polityce polskiej zarzucił antyrosyjskość, bezrozumne wspieranie prozachodnich dążeń Ukraińców i odrzucenie rosyjskiej polityki otwarcia, którą uprawiali Gorbaczow, Jelcyn i Putin. Na szczęście jest jeszcze czas, by się opamiętać i z konfliktu ukraińskiego wyciągnąć następujący wniosek: "Czynnikiem stałym polskiej polityki była i pozostaje Rosja".

Autora znam od lat kilkudziesięciu, więc sądzę, że kieruje się chęcią dyskusowania o Polsce. Stąd polemika, bo w innym przypadku machnąłbym ręką. Ileż bowiem można zajmować się fantazjowaniem na temat dziejowych krzywd, które w ostatnich dziesięcioleciach miały spotkać biedną Rosję, która ciągle "się cofa" pod naporem wroga Zachodu. W końcu musi powiedzieć: "dość!". I [Rosja](#) mówi, aż świat oniemiał z wrażenia.

+++

Krakowski uczyony rozpoczął od przywołania historii. "Rosja czuje się spadkobiercą Rusi", Kijów jest jej "kolebką" i miastem świętym. Donieck i Ługańsk należały do państwa moskiewskiego, zaś [Krym](#) zdobyli Rosjanie w XVIII w. i dopiero Chruszczow "podał" półwysep Ukrainie. Sewastopol zaś to w ogóle "miasto chwały oręża rosyjskiego". Przemysł Zagłębia Donieckiego - dowodzi autor - stworzono nie dla Ukrainy, lecz "dla całego imperium". "Skopiowanie" zaś przez Ukrainę wzorów z Zachodu byłoby dla reżimu Putina zabójcze.

Pomimo tych faktów Rosja "jest gotowa przyjąć istnienie odrębnej Ukrainy", choć kwestią otwartą ma pozostać "zakres owej odrębności". Podczas pomarańczowej rewolucji 2005 r. Putin "wykazał powściągliwość", lecz nawet Gorbaczow i Jelcyn nie zgodziliby się "kiedykolwiek na pożegłowanie Ukrainy do świata zachodniego". Romanowski konkluduje, że można rozważać "pożegłowanie" Ukrainy Zachodniej, lecz nie rosyjskojęzycznego wschodu, bo nawet Gorbaczow pochwalił aneksję Krymu.

Po kolei zatem. Trzy tygodnie temu zabawną rozmowę z Władimirem Żyrinowskim przeprowadził Anton Heraszczenko - doradca ministra spraw wewnętrznych Arsena Awakowa. Żyrinowski chciał połączyć się z szefem, by mu nagadać za to, że ukraińska prokuratura wszczęła przeciwko niemu dochodzenie o podżeganie do wojny w Donbasie. Żyrinowski wyłożył Heraszczence poglądy historyczne w sposób zbliżony do Romanowskiego. Krym był i jest rosyjski, południe i wschód Ukrainy nigdy nie były ukraińskie, bo to Noworosja.

Heraszczenko odpowiedział, że w historii różnie bywało. Moskwę założył kijowski książę Jurij Dołgoruki i jak się uprzeć, to Ukraińcy mogą zażądać zwrotu swojego miasta. Tym bardziej że był już precedens. Na początku XVII w. hetman Piotr Sahajdaczny z Wojskiem Zaporoskim Jego Królewskiej Mości gospodarzył na Kremlu. Jakby tej anegdotycznej rozmowy było mało, w przededniu ukraińskiego święta niepodległości kijowski bloger wywiesił na

jednym z najwyższych budynków w Moskwie ukraińską flagę i pomalował sowiecką gwiazdę w ukraińskie barwy narodowe. W Kijowie żartuje się, że na wieże i gwiazdy Kremla przyjdzie kolej po wygranej wojnie w Donbasie.

Tyle frywolności. Wersja historii przedstawiona przez prof. Romanowskiego to wytwór rosyjskiego imperializmu - niezmienny, bo używany w czasach carskich, sowieckich i teraźniejszych do uzasadnienia panowania nad Ukraińcami. Aż wierzyć się nie chce, że powtarza je redaktor naczelny Polskiego Słownika Biograficznego.

Przed zajęciem Krymu przez Katarzynę II (tę od rozbiorów I Rzeczypospolitej) na półwyspie istniało państwo Tatarów krymskich. Stalin ich wypędził w czerwcu 1944 r. W roku bieżącym, w święto 4 czerwca, Nagrodę Solidarności z rąk polskiego prezydenta odebrał Mustafa Dżemilew - przywódca narodowy Tatarów krymskich i deputowany parlamentu ukraińskiego. Tym gestem Bronisław Komorowski pokazał, że symbolicznie wybrał się w drogę z małym Mustafą, którego w wagonie bydłowym wywożono w stepy Azji Centralnej, by tam wraz ze swoim narodem przepadł. Andrzej Romanowski nie zabrał się w tę podróż, wraz z konwojentami pozostał na kolejowej rampie.

+++

Romanowski pisze, że Ukraińcy zrobili błąd, bo nie wprowadzili ustroju federalnego. W efekcie część ich kraju zapłonęła i ryzyko rozpadu kraju "jest całkiem realne". Donbas - odpowiadam - zapłonął sam z siebie, oficerowie GRU i FSB na czele tzw. republik z Doniecka i Ługańska to zwidy, podobnie jak rosyjskie czołgi, transportery opancerzone, wyrzutnie Grad i Buk oraz napływające w ostatnim czasie regularne oddziały elitarnych dywizji powietrzno-desantowych z Pskowa, Kostromy i Riazania. Strącenie samolotu malezyjskich linii lotniczych przez rosyjskich dywersantów to również efekt niezgodzenia się Ukraińców na federalizację.

Autor pisze, że wspierał pomarańczową rewolucję, lecz mu przeszło w 2012 r., gdy we Lwowie protestowano przeciwko nowej ustawie językowej. Zobaczył wówczas „nienawiść do » mówiących inaczej «”, do ludzi rosyjskojęzycznych niechących być obywatelami drugiej kategorii”. A na tym przecież „nie można budować państwa”.

Dziś świat zobaczył inne obrazy. W Doniecku w ukraińskie święto niepodległości terroryści zorganizowali "paradę" jeńców ukraińskich. Przez wrogi tłum - plujących na nich i wykrzykujących "faszyści" - szli ze skutymi rękami, pod eskortą uzbrojonych konwojentów. Z tyłu posuwała się polewaczka z wodą, by "zmyć brud, który kroczył ulicami miasta" - jak głosiła rosyjska propaganda.

"W armii rozkazy wydawane są równie często po ukraińsku, co po rosyjsku" - powiedział niedawno Awakow. Ormianin z Charkowa, dziś ostentacyjnie mówiący wyłącznie po rosyjsku. Na froncie największą daninę krwi złożyły brygady z rosyjskojęzycznego Dniepropietrowska i Mikołajowa. Romanowskiemu radzę, by się do nich udał i przekonywał do federalizacji, odebrania językowi ukraińskiemu statusu jedyne go języka urzędowego i poddania się dyktatowi Putina. Tego zapewne oczekują od intelektualistów z Europy, która została ufundowana na prawach i wolnościach obywatelskich oraz godności, która jest przyrodzona każdemu człowiekowi.

Według autora [Polska](#) "wspierała działania wymierzone w Wiktora Janukowycza", który nie chciał zrobić ze swojego kraju rosyjskiego protektoratu, bo miał szansę przekształcić Ukrainę w "kraj równowagi" pomiędzy Zachodem a Rosją - choć wychylony (jak autor dodał z ostrożności) bardziej ku Moskwie.

Historycy długo będą się spierać, czy Janukowycz rzeczywiście chciał podpisać umowę stowarzyszeniową Ukrainy z UE w listopadzie 2013 r., czy też negocjacje z Unią markował, by na lepszych warunkach dogadać się z Putinem. Fakty są bezlitosne dla niego i jego obrońców: umowy nie podpisał, zbiegł do Rosji i poparł aneksję Krymu. Ze środków, które nagrobił w trakcie swoich czteroletnich rządów, finansuje rebelię w Donbasie. W dziejach Ukrainy zapisał kartę haniebną.

Polityka polska zrobiła wszystko, co możliwe i niemożliwe, by Janukowycz miał szansę balansować pomiędzy Zachodem i Rosją oraz podpisać umowę z UE. Prezydent Komorowski spotkał się z nim 27 (!) razy, przekonywał do niego Europejczyków i Amerykanów. Pod koniec lutego br. Radosław Sikorski wraz z ministrami spraw zagranicznych Niemiec i Francji wynegocjował z ówczesną opozycją ukraińską podpisanie porozumienia z Janukowyczem, które gwarantowało mu władzę do grudnia br. W kilka godzin jednak po podpisaniu porozumienia Janukowycz zbiegł z Kijowa.

+++

Autor wymienia trzech polityków polskich, których należy słuchać w sprawie układania relacji z Rosją: Adama Czartoryskiego, Aleksandra Wielopolskiego i Romana Dmowskiego. Dwaj pierwsi żyli w czasach zaborów, więc ich koncepcje słabo przystają do naszych realiów. Dmowski żył w II RP i sporo pisał o kierunkach jej polityki zagranicznej. Nawet w latach stalinowskiego terroru i ludobójstwa opowiadał się za sojuszem z Rosją.

Do niepodległości Ukrainy miał stosunek wrogi, bo gdyby państwo ukraińskie miało powstać, to według niego przemieni się w "międzynarodowy dom publiczny". A w ogóle, to Ukraińców wymyślili Austriacy do spółki z Niemcami, by pognębić Polaków do spółki z Rosjanami - jedyne wielkie narody całej Słowiańszczyzny, które są w stanie powstrzymać napór wrażeń Germanów.

Za politykę wobec Rosji krakowski profesor obwinia elity polityczne wyrosłe w ruchu "Solidarności", które rządzą się etosem walki i nie potrafią "przeciwstawić się zagrożeniu, gdy stało się realne". Postępują tak jak Lech Kaczyński w Gruzji w sierpniu 2008 r. - "licytują się na radykalizm, protestują i żądają sankcji". A trzeba - konkluduje autor - mieć pomysł "na dobrosąsiedzkie stosunki z Rosją".

Za oknem jest rok 2014, a nie rok 1804 (Adam Czartoryski został ministrem spraw zagranicznych Cesarstwa Rosyjskiego), ani rok 1863 (Aleksander Wielopolski zarządził brankę do wojska rosyjskiego, by młodzież nie poszła do powstania), ani 1931 (w pracy "Świat powojenny i Polska" Dmowski wyłożył swoje poglądy na Rosję sowiecką i Ukrainę). Polityka zagraniczna III RP została zbudowana na koncepcjach Jerzego Giedroycia, dzięki czemu czujemy się w miarę bezpieczni w NATO i UE. Wizyta Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi, do którego zbliżały się czołgi rosyjskie, pozostaje najjaśniejszym punktem jego - w sumie mało udanej - prezydentury.

I tego warto się trzymać, a nie szukać uzasadnienia dla imperializmu Putina - największego i jak najbardziej realnego zagrożenia dla bezpieczeństwa Polski i całej Europy. Polska powinna wspierać Ukraińców w ich walce i zachęcać Zachód do twardej postawy wobec "cara", któremu zamarzyła się chwała Piotra I, Katarzyny II i Stalina.

Czy sprzeciw wobec agresji Kremla to antyrosyjskość?

Wojciech Maziarski, Gazeta Wyborcza

28.08.2014 , aktualizacja: 27.08.2014 21:49

W zdumiewającym tekście "Polska, Ruś i racja stanu" ("Wyborcza" z 26 sierpnia) Andrzej Romanowski postawił tezę, że Polska prowadzi wobec Rosji politykę drażniącą i agresywną. I że powinniśmy wobec wschodnich sąsiadów złągodzić ton, wczuć się w ich dusze i zrozumieć motywacje.

Nie należy oczekiwać - pisze Romanowski - że [Rosja](#) wciąż się będzie cofać, wyrzekając się np. wschodniej Ukrainy, której przemysł był budowany z myślą o potrzebach całego imperium, a nie tylko Kijowa.

Autor nie tłumaczy, dlaczego nie można od Rosji oczekiwać tego, czego oczekujemy od innych państw. [Praga](#) zgodziła się na rozwód ze Słowakami, Polacy zrezygnowali z pretensji do dawnych ziem Rzeczypospolitej na wschodzie,

Brytyjczycy i Francuzi uznali niepodległość swoich dawnych kolonii. Dziś kibicujemy zwolennikom jedności Wielkiej Brytanii, ale jeśli w szkockim referendum zwycięży obóz niepodległościowy, oczekujemy, że [Londyn](#) się z tym pogodzi - mimo że szkocki przemysł też był budowany z myślą o zaspokajaniu potrzeb całego Zjednoczonego Królestwa, a nie tylko Szkocji.

Wszystkie imperia kolonialne od stu lat nieustannie się cofają i jakoś to Romanowskiemu nie przeszkadza. Tylko jedna Rosja z jakichś powodów miałaby być do tego organicznie niezdolna. Tym, którzy domagają się, by [Moskwa](#) przestrzegła zasad obowiązujących w świecie cywilizowanym początku XXI wieku, Romanowski zarzuca antyrosyjskość. W istocie jednak to on ma do Rosjan pogardliwy stosunek, uznając, że są skazani na tkwienie w okowach XIX-wiecznej mentalności kolonialnej. Czyżby byli genetycznie upośledzeni?

Jednocześnie krakowski publicysta pomija milczeniem istnienie w Rosji środowisk liberalnych i demokratycznych pozostających w opozycji do wielkoruskiego Kremla. Ludzie tacy jak były wicepremier Borys Niemcow, który w ubiegłym tygodniu złożył Ukraińcom życzenia z okazji ich święta narodowego, nie pasują Romanowskiemu do schematu.

W istocie Romanowski akceptuje ukutą w Moskwie neoimperialną doktrynę "bliskiej zagranicy", która jest zmodyfikowaną wersją XX-wiecznej doktryny Breżniewa. Przyznaje ona Moskwie prawo do politycznej, gospodarczej i zbrojnej interwencji, gdy uzna, że któreś z państw ościennych wykazuje zbyt dużo samodzielności.

Zarzucanie antyrosyjskości zwolennikom twardej linii wobec agresywnej polityki Putina jest równie mądre jak zarzucanie antyniemieckości tym, którzy w latach 30. XX wieku domagali się twardego postępowania z III Rzeszą. Analogie do tamtej epoki zauważa sam Romanowski, pisząc, że Putinowska aneksja Krymu przypomina działania Hitlera w 1938 r. "Ale z takich analogii niewiele wynika" - dodaje.

To zależy. Lekcje historii rzeczywiście mogą pójść na marne, jeśli nie będziemy chcieli z nich skorzystać. Ale przecież możemy spróbować wyciągnąć naukę z błędów popełnionych przez poprzedników. Gdy więc słyszymy głosiceli dzisiejszego appeasementu - zwolenników "gołębiej" polityki wobec Kremla, propagatorów rzekomego "kompromisu" i "dialogu", ludzi, którzy sprzeciwiają się "drażnieniu" i "prowokowaniu" Moskwy oraz proponują, by [Ukraina](#) jak Czechosłowacja w 1938 r. została rzucona w ofierze agresywnemu sąsiadowi - odpowiedzmy im słowami Churchilla: "Macie do wyboru hańbę i wojnę. Wybieracie hańbę, a wojnę i tak będziecie mieli".